

# Jak zrobiłem karierę?

Od szybek w jednym pokoiku do szyb, luster i radjoaparatów w 18 salonach

Wszystko dzięki reklamie filantropijno-społecznej

Wywiad „ABC” z p. Franciszkiem Baytlem

Dwadzieścia lat temu, uważając się po ukończeniu 6 klas gimnazjalnych za dostatecznie wykształconego i idąc za fachim swego ojca, założyłem małą sklepik z szybami.

Kapitał zakładowy wynosił 16 rubli,

w tem 10 rub. na czynsz, a 6 rubli na obrót. Już po roku interes rozwinął się bardzo dobrze tak, że zmuszony byłem wynająć dalsze dwa pokoje i zaprowadzić dział luster.

Zadawał się minimum zysku

rozszerzyłem w następnych kilku latach tak znacznie obrót towarowy, że z zysków zdążyłem nabyć składy.

W roku 1912 miałem już 10 pokoi — w roku 1921 — 18 sal. Zdając sobie sprawę, że reklama jest dźwignią handlu, postanowiłem rozreklamować swój interes możliwie szeroko. Szablonowa reklama stosowana częstokroć przez nasze kupiectwo, nie odpowiadała mi. Wyjechałem więc do Niemiec, Francji, a następnie do Ameryki, gdzie przestudowałem formę reklamy zagranicznej. Doszedłem do wniosku,

że najsukuteczniejszą reklamą jest reklama, zawierająca czynnik społeczno-filantropijny. Wróciłem przeto do kraju i prawie przez cały okres wojenny a nawet parę lat po wojnie rozdałem na cele dobroczynne około dwóch milionów złotych. W ten sposób zrobiłem dużo dobrego i rozreklamowałem się tak dalece, że dziś śmiało mogę powiedzieć, że Polska zna me nazwisko.

Obserwując w Polsce rozwój radjofonii, postanowiłem prócz dotychczasowego interesu przy czynić się i do popularyzacji radjofonii w Polsce w jak najwyższym stopniu. W tym celu przed paroma miesiącami założyłem wielkie składy komisowe wszystkich polskich fabryk radjoaparatów.

By interes uruchomić przy minimalnych rozchodach, zasto-

sowałem poraz pierwszy w Polsce system angażowania pracowników niestałych na godziny. Uskuteczniłem to przez wejście w kontakt z Bratnią Pomocą Un. Warszawskiego, która na każde zadanie codziennie deleguje do składów studentów politechniki, płatnych na godziny, przy równoczesnym zwrocie kosztów przyjazdu do składów. W ten sposób w jednym

dniu pracuje u mnie trzech, do czterech studentów, w drugim dniu piętnastu do dwudziestu pięciu ludzi, zależnie od zapotrzebowania.

Stałego personelu nie posiadam.

Główne wytyczne, jakimi się kierowałem na drodze mej kariery to: minimalne zyski, uprzejma i sprawna a umiędowa obsługa i szeroko ujęta reklama.

## Porucznik Szosland w Warszawie

# Żywiłowy entuzjizm polonji amerykańskiej

Polowanie w majątku miliardera Bowmana

Złote zegarki, rzędy końskie i wierzchowce otrzymali nasi znakomici jeźdźcy

Jeszcze nie zdążył odsapnąć zany porucznik Szosland, po żmudnej podróży amerykańskiej, a już „ABC” przypuściło doń gwałtowny szturm, atakując o wywiad.

Trzeba bowiem wiedzieć, że prostota i skromność wybitnie cechują tego rasowego kawalerzystę, który nawet zdobycie Puharu Narodów, nazywa poprostu obowiązkiem.

— Początkowo — mam wrażenie —

całkiem w nas nie wierzone. Francuzi byli już od miesiąca... To samo Belgowie.

Zdążyli już oni zdobyć wszystkie nagrody pierwsze w Kanadzie.

Konie ich przeszły doskonały trening. To też nasi kochani rodacy, zachęcając nas, mówili:

— Moi kochani, postarajcie się. Niech Bóg wam i Polsce szczęści. Wygrajcie bodaj najmniejszą nagrodę... Poseł zaś Ciechanowski, który specjalnie przybył z Waszyngtonu, w wigilję konkursów, rzekł do nas:

— Będę szczęśliwy, jak otrzymacie trzecią nagrodę.

Przy tej wielkiej konkurencji będzie to już zwycięstwem.

— W takim nastroju przyszedł dzień pierwszy konkursów pod znakiem zwycięstwa, poczem drugi, trzeci, wreszcie „Puchar Narodów”, zdobyty ośmiu punktami wyżej od Francuzów.

— Tego dnia nigdy nie zapomnę. Z kilkudziesięciu tysięcy piersi wyrwał się potężny okrzyk na cześć Polski. Orkiestra wojskowa zagrała nasz hymn narodowy. Oszołomieni, zaskoczeni tym entuzjazmem, salutowaliśmy wielotysięczne tłumy. Nagle po przez zwarte, falujące morze głów, dobiegły nas głosy polskie:

— Wiwat, nasza kawaleria! Niech żyje nasza Polska, jej dzielne wojsko!

— W mgnieniu oka zostaliśmy otoczeni przez polonję. Od tej chwili już nie pozwolono nam zdjąć mundurów.

Poprostu rozchwytywano nas i naszych ordynansów. Ci mieli wyzerkę, jakiej chyba nigdy przed tem,

## DZIŚ O TRZECIEJ POPOŁUDNIU

# Losowanie 2.100 premji gwiazdkowych „ABC”

Nasi czytelnicy od poniedziałku będą mogli otrzymywać premje

Wczoraj zakończyliśmy przyjmowanie kuponów na rozlosowanie naszych premji gwiazdkowych. Stosownie do zapowiedzi dziś nastąpi losowanie, w wyniku którego

2.100 naszych czytelników otrzyma premje gwiazdkowe.

Losowanie rozpocznie się o godz. 3-ej w lokalu naszej redakcji. Do jednej z urn wsepimy 2.100 kolejno numerowanych kartek, odpowiadających numerom premji. W drugiej urnie znajdować się będzie tyle numerowanych kartek, wiele

kompletów kartek otrzymano. Jednocześnie ciągnięcie z obu urn stwierdzi bezapelacyjnie, na który kupon padzie ta, lub inna nagroda.

Cała procedura losowania będzie się odbywała pod kontrolą rejenta i zakończy się formalnym aktem rejentalskim. W ten sposób możliwość jakiegokolwiek uchybień w losowaniu jest

BEZWZGLĘDNE WYKLUCZONA.

Trudno byłoby w jednym numerze ogłosić 2.100 nazwisk posiadaczy premji, to też jutro będziemy mogli zamieścić tylko część osób nagrodzonych. Uprzejmie prosimy cierpliwie czekać dokończenia listy wygranych, w numerach następnych, albowiem nie będziemy w stanie ze względów technicznych udzielać wszystkim informacji, bądź osobiście, bądź też telefonicznie.

## Za puhar narodów —

Krzyże zasługi

Nagroda wojska

Jeźdźców naszych, co tak świetnie spisali się w New-Yorku, czeka miła niespodzianka, po bezpośrednim zameldowaniu się u swej zwierzchniej władzy wojskowej.

Oto — jak się „ABC” dowiaduje — wszyscy trzej uczestnicy międzynarodowych konkursów hippicznych w New-Yorku, otrzymają Krzyże Zasługi, bądź okucia.

Stało się to na skutek wniosku Departamentu Kawalerji, bezpośredniej władzy zwycięskiej drużyny.



ALEKSANDER BŁĄŻEJOWSKI

43)

## TAJEMNICA HOTELU PRZY ULICY CHMIELNEJ

— Powieść była w moim biurku i odebrano mi ją w czasie rewizji, — odpowiedział wreszcie oskarżony, — ostatnią zaś część pokazał mi komisarz Borewicz, była silnie splamiona krwią...

— Pan mnie widocznie nie rozumie, — przerwał szorstko prokurator. — Nie pytam się o rękopis, tylko o powieść...

Karnicki milczał, nie mógł się połapać, do czego prokurator zmierza. Zabielski wyręczył go w odpowiedzi:

— Jeśli pan, nie chce mówić o losach powieści zamordowanego, to ja mogę pana wyręczyć w odpowiedzi. Powieść Galkina zużytkował pan do swego dramatu pod tytułem „Sąd nad Antychrystem”...

Słowa prokuratora podziślały piorunująco na oskarżonego. Karnicki zerwał się gwałtownie z krzesła, a z jego pobielających ust wydobyło się przeczenie:

— Nie, to nieprawda, pan prokurator się myli.

— Możliwe, że się mylę, — spokojnie odpowiedział Zabielski i dlatego powieść Galkina dam tłumaczom sądowym dla przetłumaczenia i porównania obydwu treści, ale wtedy sprawa może się stać głośną... Jeśli zaś rzeczywiście się pomyliłem, to nie rozumiem pańskiego przerażenia...

Karnicki usiadł z powrotem w krzesło, zakrył twarz rękami, a z krtani wydobywał się mu spazma-

tyczny szloch i wstrząsał nim długo. Zabielski patrzył na oskarżonego, czekał cierpliwie, aż się uspokoi i powtórzył swoją propozycję:

— Więc zgadza się pan na oddanie powieści tłumaczowi sądowemu?...

Karnicki zaprzeczył ruchem głowy. Widać było, że sam ze sobą się zмага. Po chwili powiedział z rezygnacją:

— Ja już wszystko powiem...

— Czekam cierpliwie.

— A więc przyznaje, — mówił słabym głosem oskarżony, że powieść Galkina posłużyła mi do napisania „Sądu nad Antychrystem” możliwe, że większa część fabuły jego powieści jest w moim dramacie, ale nie mniej w „Sądzie nad Antychrystem” jest bardzo dużo mojej własnej pracy i nerwów. Dziwi zapewne pana prokuratora, dlaczego ja, człowiek o wyrobionej pozycji w literaturze posłużyłem się obcym tematem popełniając w ten sposób, — pańskim zdaniem — kradzież. Zaraz panu wszystko wytłumaczę. Powieść Galkina, jak już powiedziałem, podobała mi się bardzo, więcej nawet, wywarła na mnie głębokie wrażenie. Był w niej ból i tęsknota, tak przeżyta i tak straszna, jakby przeżywała mózg i serce. Po przeczytaniu tej powieści, myślałem o niej wiele. Zdawało mi się, że jakiś dziwny lekarz dokonywał długiej operacji na organizmie własnego narodu. Operacja trwała aż za długo. Krwawy operator z zamiłowaniem grzebał w ranie i w ciepłych wnętrznościach, naciskał każdy obolały mięsień, każdy nerw. A potem, gdy straszna operacja udała się, gdy pacjent przetrzymał piekielne męki i wracał do zdrowia, wtedy ten sam lekarz — operator pokochał pacjenta duszą i sercem. Za męki, za ból, chciał mu przypiąć skrzydła anielskie, chciał,

by aureola męczeństwa zajaśniała nad głową chorego i tak jak przedtem wierał się w najboleśniejsze miejsca, tak potem z czcią całował zabliznioną ranę. Takie wrażenie uczyniła na mnie powieść Galkina.

Obrazy malowane brutalnie, więcej bo z cynizmem, utrwały się coraz silniej w moim mózgu. Przejąłem się do tego stopnia, że widziałem własnymi oczyma miliony wychudłych twarzy, oblednych oczu, miliony opuchłych rąk i nóg, które roztrącały dymiące jeszcze zgłiszczu, szukając żywności i prawdy. Połamane, skrwawione paznokcie przebijały gorące popieliska, namacały ziemię, rwały zwałowaną trawę i wysuszoną od żaru ziemię i wciskały ją do gorączką spalonych ust. W lunach, bijących od pożarów, widziałem mokre czarne drzewca szubienic, na których kołysali się niewinni powieszni przez tych, którzy nie wiedzą co czynią. A potem mokra mgła rozstępowała się coraz bardziej, aż pierwsze promienie słońca przebiły ciężkie chmury i zajaśniała na niebie tęcza. Potem przyszedł pierwszy słoneczny dzień i wystrzeliła młoda zielona trawka obok spalonych badyli.

To wszystko widziałem w powieści Galkina pół historyka, pół geniusza, a może i... wariata.

Gdy Galkin żył, starałem się za wszelką cenę namówić go, by powieść wydał. Nie zgodził się, twierdził, że narazie musi się z nią ukrywać, a mnie jednemu zwierzył się z jej napisaniem. Najlepszym dowodem, że nie chciałem powieści przywłaszczyć sobie, było, iż poprawiałem każdy błąd, każdą szczerłą logiczną, chciałem, by stała się arcydziełem. Wiedziałem, że może odegrać poważną rolę jako broń przeciw dżumie bolszewickiej. Tak było do dnia morderstwa.

(D. c. n.)